

Bogowie zeszli z niebios.

*

Światła mieszają się ze sobą. Pomiędzy kroplami deszczu, obok szafasu rozrzuconego przez wiatr rodzi się szczenię czarnej kobiety. W pobliżu siedzą w kucki jej bracia i siostry, spoglądając ukradkiem na zjawisko.

Tęcza objawia się i razi w oczy patrzących.

Pojęcia umierają po raz kolejny, zanikają w niezrozumieniu i głupocie.

Nie ma Raju... Podobno Eden nie istnieje, a Niebo i Piekło to fałsz. Coś mąci logikę rzeczy i spraw; nic nie jest takie, jakie być powinno. Ogień płonie mimo wody spływającej z chmur.

Na wzgórzu ponad kamiennym obszarem i rodzącą kobietą wznosi się hebanowi krzyż z przybitą doń ofiarą. Nie ma życia w zastygłym ciele.

Podobno bogowie zeszli z niebios.

*

Obudził się i przetarł dłońmi zaspane oczy. Rozejrzał się po komnacie i usiadł wśród poduch, odrzucając je na boki. Westchnął.

Który to już raz nawiedziły go te koszmary? Nigdy wcześniej nie śnił. Czasów dzieciństwa nie pamiętał.

Podszedł do okna przeciągając się, by rozruszać ospałe ciało i wyrzwał na zewnątrz.

Wieża wznosiła się ponad miastem, więc miał z niej doskonały widok na całą okolicę. Nieżyjący już budowniczy ustawili ją z gładko ociosanych kamieni, ale zapomnieli nadać jej właściwą nazwę. Dlatego zwano ją po prostu wieżą.

Był późny ranek i padał deszcz. Wyciągnął rękę chcąc przekonać się na własnej skórze, czy nie jest to przewidzenie bądź sen. Nie pamiętał...

Potrząsnął głową i naraz odrzuciło go coś od okna, poczuł ból w głowie, a w piersiach zabrakło tchu. W chwilę potem obca siła cisnęła nim o ścianę. Na ustach poczuł krew, a przed oczami miał mrok.

- Na imię ci Salonin, czy tak?

Obcy głos przywrócił mu wzrok i świadomość. Przy przeciwległej ścianie zobaczył trzy postacie otoczone świetlistą obęczą. Nigdy ich wcześniej nie widział.

- Na imię ci Salonin, czy tak?

Skinął głową nie mogąc wydobyć słowa.

- Byłeś katem?

- Tak - potwierdził. - Dlatego tu jestem.

- Zostaniesz bogiem.

- Co?!

- Byłeś katem, będziesz bogiem...

Pod wpływem tych słów ujrzał czerni, a umysł jego wypełnił się wiedzą i mocą, o której śnili władcy i prorocy. Zapadł się. Pomiędzy niezrozumienie a stawanie się. Ze strachem i obawą.

*

Bogowie nie są bogami.

Światło nie jest światłem.

Człowiek nie jest człowiekiem.

Mrok nie jest mrokiem.

Uniósł dłoń i przyjrzał się jej. Była czerwona i lepła się od krwi. Dlaczego?

Wstąpił w drzwi i zaczął schodzić schodami w dół. Na imię miał Salonin i kiedyś był katem. Ktoś obcy przyszedł do niego i uczynił go bogiem. Miał w sobie moc!!!

Warknął i kamienie w ścianach zaczęły pękać, posypał się pył. Zaciśnął pięści i zadrżała cała budowla. Powiedział... I w tej samej chwili znalazł się na zewnątrz, na obrzeżu ruin.

Podobno bogowie zeszli z niebios. Czy naprawdę?

*

Zatrzymał się. Na wzgórzu wznosił się w słońce hebanowy krzyż. Ptaki wydziobały oczy ofiary i rozdarły na strzępy krwawe mięso, nim słońce zdążyło je wysuszyć. Robaki żarły wnętrzości i mózg.

Kiedyś był to człowiek. Przyczepione do krzyża zwłoki pozostawały jego wspomnieniem i tego, co mu uczyniono. W dole, przy skleconych byle jak i z byle czego szałasach żyli świadkowie, koczownicy, którzy składali doń modły każdego brzasku i każdego wieczoru. Dał im bowiem deszcz, a nie było na pustyniach nic bardziej upragnionego. Dlatego obwołali go swym bogiem i dlatego wciąż koczowali pod wzgórzem modląc się i śpiewając.

Upadł na kolana przypominając sobie obraz z wieży. Ukrzyżowany był bowiem jednym z trójki, która przysłała do niego, by dać mu wolność i moc. Teraz nie zastanawiał się, dlaczego to uczynili. Był bogiem i mógł znacznie więcej niż kat, który jedynie zabierał życie.

Spojrzał w dół, na obóz, pozwalając, by myśli swobodnie krążyły mu po głowie. Ci prymitywni nomadzi wierzyli w ukrzyżowanego, nie przypuszczając nawet, kim był w rzeczywistości. Ich niewiedza przemieniła się w wiarę. Czy mógł zatem pogrążyć ich w ogniu? Czy mógł zatem ich zabić?

Któregoś dnia to wszystko się zmieni. Któregoś dnia prymityw przerodzi się w cywilizację i powstaną miasta wybudowane na krwi budowniczych i ich sług. Stanie się tak któregoś dnia.

Wiedział o tym i odwołał anioła śmierci. I odszedł.

*

Zatrzymał się przed bramą miasta i przez chwilę przyglądał się zdobiącym ją ornamentom. Za murami znajdowało się dziedzictwo, które ofiarowali mu bogowie. Wszedł zatem, zapłyciwszy myto strażnikom i znów przystanął. Jeszcze dziś wieczór to wszystko będzie jego...

Uśmiechnął się do siebie widząc bogactwo budowli i przechodniów. Gwar targu mile drażnił jego uszy. Handlem żył cały cywilizowany świat... To, co ujrzał tutaj, było tego najlepszym dowodem. Nie potrzebował innych.

Ruszył rozglądając się i łowiąc z gwaru strzępki słów i zdań. Dowiedział się niewiele, lecz wystarczyło i to, by ułożyć sobie w całość powszechną opinię o rządzącym namiestniku. Nie ściągał dużego haraczu i pozwalał, by kwitł handel; zaś jego gwardia prawie wypleniała złodziejstwo. Namiestnika otaczał zatem powszechny szacunek i nie było człowieka, który by nań narzekał.

Salonin pomyślał, że jeszcze dziś do wieczora zmaści ten spokój tak, jak rzucony w wodę kamień. Ustanowi nowe prawa, a w świątyniach stać będą jego posągi...

Tajemnym przejściem, o którym nikt nie wiedział, przedostał się do pałacu i tam, przemieniwszy się w białego węża, wpełzł do komnaty, w której spała córka namiestnika. Zasyczał cichutko widząc jej nagie ciało, przykryte jedynie przezroczystym welonem nie dającym ciepła i, wpełznąwszy na łożo, przesunął się między jej uda. Powoli zanurzył łeb w jej wnętrze.

Gdy wydostawał się jej ustami nie było już życia w stygnącym ciele.

I na powrót stał się człowiekiem i przeszedł do komnaty tronowej, gdzie wielki władca miasta w towarzystwie swej małżonki odbywał audiencję.

Cichy pomruk zdziwienia przemknął wśród zgromadzonych.

- Kim jesteś?! - obruszył się pan.

- Twoim następcą - odparł szeptem. Jego brzmienie rozbiło w drobny pył znajdujące się między nimi lustro i zawirowało w uszach słuchaczy bólem i lękiem. Upadli na kolana, a gwardziści wypuścili ze swych rąk broń.

- Przestań! - zawył władca. - Przestań!

- Tyś jest namiestnikiem tych ziem, czy tak? - zapytał Salonin.

- Tak!

Rzekł wówczas:

- To... miło, śmiertelniku.

Po czym zbliżył się do piedestału i przystanął o krok od progu, na którym stał tron. Wpatrzył się w oczy kobiety siedzącej obok namiestnika i wszedł do jej umysłu.

- Tańcz - mruknął cichutko.

Samica wstała powoli i wyszedłszy na środek komnaty zaczęła kręcić się i pląsać, pozbywając się okrywających ją szat.

Zaśmiał się Salonin widząc niemrawe ruchy, w których nie było ni odrobiny piękna i schwyciwszy łańcuch zwisający z szyi namiestnika szarpnął nim ostro okręcając wokół swych palców.

- Ogłosisz mnie swym następcą, człowiecze małej wiary - rzucił władcy w przerażoną twarz i odepchnąwszy go obrócił się ku zgromadzonym na sali.

Nie znał ich i byli mu obojętni. Nie był jednak pewien, czy ma ich zabić, czy uczynić swymi sługami. Świat bowiem był ogromny, a on, mimo iż był bogiem, tylko jeden, i nie mógł znaleźć się wszędzie. Zaś słowa jego winny docierać do najmniejszych i najdalszych zakątków.

Sprawujący rządy musiał mieć posłuch. O tym, kto sprawuje te rządy, musieli wiedzieć wszyscy, bez względu na wiek i płeć, istoty żywe i ich cienie.

- Zapytaliście mnie, kim jestem?! - rzucił z krzywym uśmiechem na gniewnej twarzy. - Odpowiem wam, a wy zapamiętajcie me słowa i przekażecie dalej.

Urwał chcąc sprawdzić, jakie wywarł wrażenie. Było wielkie, przewyższało nawet ich strach. Oto bowiem pojawił się nie wiadomo skąd nie wiadomo kto i rozkazywał im i mówił, co mają robić. Na ich oczach kazał tańczyć władczyni, a ta posłuchała się go bez sprzeciwu. W ich sercach pojawił się zatem strach, a potem pytanie.

Salonin opuścił wzrok. Sięgnął po moc drzemiącą w umyśle, rozłożył szeroko ręce napinając mięśnie do granic bólu, wzniosł się ponad marmurową posadzkę, niewysoko, o dwie, trzy stopy. Lecz już to wystarczyło, by ich przerazić.

- Pytaliście mnie, kim jestem - usłyszeli głos. - Jestem bogiem!!!

Komnata zadrżała niczym od uderzenia gromu, ze stropu posypał się pył, a na ścianach ukazały pęknięcia. Z nozdrzy ludzi pociekła krew.

- Na imię mi Salonin. Zapamiętajcie i przekazcie dalej.

Nie wiedząc dlaczego to czynią, zaczęli unosić się z klęczek i oddawszy pokłon powoli wychodzili z komnaty. Namiestnik patrzył i nie mógł uwierzyć.

- Dokąd idziecie?! - zawołał. - Zostańcie! Rozkazuję wam!

Salonin okręcił się w powietrzu, wejrzał w jego oczy.

- Powtórz to, a każę cię wychłostać - rzucił cicho.

Namiestnik zamilkł i wtulił się w tron. Powędrował spojrzeniem ku swej nagiej, wciąż tańczącej małżonce.

I nagle przypomniał sobie o kimś jeszcze.

- Chciałbym zobaczyć się z córką - wymruczał strachliwie.

- Proszę - odparł Salonin.

I tak właśnie objął władzę.

*

To, czy życie miało sens, czy nie, nie było ważne. Było ani lepsze ani gorsze od marzeń i snów, po prostu inne.

Na wzgórzach pośród kamiennych pustyń wznosił się hebanowy krzyż z uciepioną do jego ramion ofiarą. Nie widziała już nic i w jej ciele nie płynęła już krew. A jednak pomimo iż była martwa, koczownicy składali do niej modły i gnąc się w pokłonach nucili pieśń błagalną.

Czy cień człowieka i wspomnienie tego, co zaszło, mogły wysłuchiwać próśb?

Słońce paliło piach, wiatr owiewał brązowe ciała. W zagłębieniu w cieniu jednej ze skał stała woda, która nie wysychała.

*

Wziął ją w ramiona i przybliżywszy jej twarz do swej twarzy przykrył jej usta swymi ustami, przeganiając zimno. I naraz do martwych członków powróciło czucie i znów żyłami popłynęła krew. Oczy, które miały już nigdy nie ujrzeć światła, drgnęły pod powiekami, a te uniosły się ukazując niezgłębiony brąz. Bładość zaróżowiła się i oto stał się cud. Odrodziło się to, co było nieżywe. Oczy ujrzały światło, a uszy posłyszały stłumione dźwięki. Usta zaś poruszyły się w pytaniu.

- Nie znam cię. Kim jesteś?

- Nadano mi imię Salonin. A jestem obecnie namiestnikiem tego pałacu i wszystkiego wokół.

W dopiero co przebudzonych oczach pojawiło się zdziwienie.

- Mój ojciec jest namiestnikiem.

- Był, dziecino. Jego czas minął.

- Jak to? Co mu się stało?!

- Odszedł.

- Widziałam go rankiem.

- Przed dziewięcioma dniami. Tyle spałaś.

Długo, niezmiernie długo zastanawiał się nad ożywieniem martwej. Nie wiedział nawet, jak ma na imię i nie znał brzmienia jej głosu. Nie mógł jednak oprzeć się jej urodzie.

Odkąd objął władzę nad miastem i roztaczającymi się wokół obszarami, przychodził popatrzeć na leżącą w pościeli martwą postać. I nie wiedział... Wieczorami kładł się przy niej i zaspokajał żądze. Później odradzał się na nowo, a pobudzona moc omal nie rozsadzała mu mózgu i żył.

Nie pojmował. Był bogiem, a odkrył w sobie słabość do martwej kobiety. Być może, gdyby wówczas jej nie zabił... Być może... Dlatego ożywił martwe ciało i sprawił, że w jej głowie znów pojawiły się myśli.

Dziedzicząc pamięć tych, którzy dali mu moc i nazwali bogiem, wiedział, iż dwóch z nich zgubiły samice oraz chuć, której nie potrafili powstrzymać. Czyżby historia miała się znów powtórzyć?

Rozkochał się we władzy, którą mu dano, albowiem niewielu ma moc mogącą ożywić martwe. Dnia trzeciego po objęciu rządów ogłosił obszarom nowe prawa, a budowniczym i rzeźbiarzom polecił wykonanie nowych posągów, do których lud miał składać modły. Unosząc się ponad targowiskiem i uzdrawiając ułomnych i chorych pozyskał sobie wiernych i wyznawców.

*

Z okna najwyższej z pałacowych wież spoglądał w dół. Przypominała mu się ta, w której więziono go kiedyś. Była równie wysoka i wzniesiono ją z równie gładko ociosanych kamieni. Przeszłość wracała czasami raniąc, czasami wywołując śmiech i z każdym dniem zacierając się i pozostawiając w umyśle coraz mniej wspomnień. Ztracał się.

Podobno dziewięć dni bez przerwy padał deszcz, a niebo pokryte czarnymi chmurami zsyłało gromy i rozbłyskiwało ogniem piorunów. Najdziwniejsze było jednak to, że nie mówiły o tym zjawiku żadne znaki, a gwiazdy były nieme. Stało się coś, co nazwano cudem, albowiem żaden z proroków go nie przewidział.

Władcy przez dziewięć długich dni wyglądali ze swych pałaców zastanawiając się, co ów cud im przyniesie, czy stanie się zapowiedzią zmian, czy też niczym znaczącym. I potoczyły się głowy fałszywych proroków i połała się krew.

Lub tymczasem tańczył i cieszył się.

Gdzieś przy jednym ze wzgórz koczownicy składali modły.

Stał przy oknie i patrzył w dół, na zabudowania miasta i chodzących wśród nich... Coś wewnątrz... Coś w jego wnętrzu...

Odwrócił się i zawirował po komnacie, zrywając obrazy ze ścian i przewracając świeczniki. Wzniósł się o dwie, trzy stopy nad posadzkę. Opadł.

- Służba! - zawył. - Służba!

Głos przeniknął zimne mury wieży, rozszedł się echem, trafił do właściwych uszu. I nim minęła chwila, wezwani gięli w pokłonie marne ciała.

- Dziś jeszcze chcę widzieć na pustyni tysiąc szubienic! Wyznaczycie ofiary. Precz!

Wyszli, pokorni jak dobrze wyćwiczone psy. Bali się go jak ognia. Bardziej.

Mówił wszak: "Ogniu, kroc z mną..." - i zapalały się knoty świec, płomienie obejmowały tkaniny i dywany. W jednej chwili pożoga.

Miał moc i potrafił ją wykorzystać dla zastraszenia. Nazywał siebie bogiem. Czy po tym, co widzieli, mogli wątpić?

Do wieczora, a dnie były długie, piaski pustyni porysowały cienie szubienic. I zawiśli na nich wyznaczeni.

Z okna na szczycie wieży Salonin patrzył na nie i uśmiech zadowolenia błąkał się mu po twarzy. Oto skazał na śmierć tysiąc istnień i polecenie jego zostało wykonane bez sprzeciwu. Kiedyś był katem. Lecz tamto z tym...

Zszedł po schodach i przystanął na chwilę, by wsłuchać się w brzmienie pałacowej ciszy, obiegnął wzrokiem wnętrze sali. Dziwił się zawsze, po co budowniczowie stawiali tak ogromne komnaty, w których nie można było zatrzymać ciepła wchłanianego przez zimno murów.

Przeszedł do sąsiedniej sali i do następnej. Zatrzymał się za progiem, a oczy jego powędrowały do drzemiącej wśród poduch nagiej kobiety. Dał jej śmierć, a potem przywrócił życiu i obdarował snem. Budziła się jedynie wówczas, gdy chciał. Karmił ją pocałunkami i nasieniem, które pozostawiał w jej wnętrzu. Tak żyła.

Przysiadł na brzegu łoża i dotknął dłonią nagiego ramienia, aż wyczuł lekkie drgnienie, znak przebudzenia. Powieki uniosły się i brąz przecudownych oczu wpatrzył się w jego twarz.

- Spałam? - Usta rozszerzyły się w cichym pytaniu.

- Tak, dziecino.

- Ciągle śpię... Czy nie możesz sprawić, bym przestała?

- Czy brak ci czegoś?

- Nie. Nie brak mi niczego.

Pochylił się i przywarł ustami do jej ust. Brązowe oczy rozbłyły krwawym blaskiem, przez umysł przemknęły tysiące myśli, głodne ciało otrzymało z dawna oczekiwany pokarm.

- Masz w sobie taką moc... - wyszeptały zaspokojone wargi. - A twe pocałunki...

Wstał i ująwszy jej dłoń sprawił, że usiadła i wraz z nim podeszła do okna. Zaczerpnęła pełną pierśią powietrza zza murów.

- Jest tak pięknie. Dlaczego nie mogę zejść do ludzi?

- Bo oni są źli.

- Kiedyś rozmawiałam z innymi.

- To było dawno, dziecino.

- Więc teraz nie ma już dobrych ludzi?

- Nie ma. Chodź ze mną. Pokażę ci coś.

- Dobrze.

Udała się za nim na najwyższą z pałacowych wież. Wzmocniona jego siłą nie czuła zmęczenia i po wejściu na szczyt była wypoczęta i pełna wigoru. Chciało się jej tańczyć; zaśmiała się ze szczęścia, czując się tak lekką i odmienną. On dał jej nową siłę, a pocałunkami sprawił, iż zapomniała o wszystkim.

Podeszła więc za nim do okna i wyjrzała na świat. I oczy jej ujrzały czerń szubienic oraz ciała wisielców i pojawił się w nich strach i niezrozumienie. Odwróciła przerażony wzrok i wtuliła się w męczyznę.

- Dlaczego? - zapytała cicho roniąc słone łzy. - Dlaczego?

- Bo tak już jest. Brat zabija brata, a córka nie może zgodzić się z matką. Dzieci płaczą i uczą się rabunku, by przeżyć do następnego dnia. Trędowaci wyruszają na pielgrzymki. Nie ma już dobra.

- Ale dlaczego?

- Bo tak chcą bogowie.

- Zmień to. Ty potrafisz tak wiele. Proszę.

- Nie mogę, dziecino. Wyrządzonego zła nie można już cofnąć. Jestem zbyt słaby, aby to powstrzymać.

- Więc nie chcę na to patrzeć.

- Dobrze... Dobrze.

Odprowadził ją do komnaty i ułożył do snu.

Ich spojrzenia połączyły się i trwały tak przez chwilę, a on patrząc zastanawiał się, czy gdy uśpi ją teraz, to obudzi ponownie. Powinien zabić ją i spalić ciało na proch, by nie mogła się już odrodzić.

Zaczął się bać. Jej i samego siebie i tego, co mogły przynieść kolejne dni. Był bogiem i bał się.

*

- Co mówi lud?

- Lud ma tysiąc zdań.

- Chcę je usłyszeć.

- Są zatem tacy, którzy składają modły do wzniesionych posągów. Są tacy, którzy złorzeczą i przeklinają. Są tacy, którym wszystko jest obojętne. Wielu opuściło miasto. Wielu boi się to uczynić. Lud ma tysiąc zdań, lecz przeważa strach.

- To dobrze. To bardzo dobrze.

Wstał z tronu i wzniosłszy ramiona ponad głowę zawołał w głąb sali:

- Jam bogiem jedynym i wszechmocnym. Kto wierzy we mnie, wierzy w prawdę! Zapamiętajcie to psy, albowiem gdy nadejdzie dzień sądu, nie będzie zmiłowania dla niewiernych. Zapamiętajcie to i przekażcie dalej!

Zapamiętali, albowiem ich lęk przewyższał po tysiąckroć wszystko, co w nich żyło. Zapamiętali, albowiem obawa spowodowała to, iż sami zaczęli wierzyć w prawdziwość słów swego namiestnika. Podobno w pałacowych lochach tańczyła ciągle żona starego władcy. Podobno gdzieś żyła jego córka. Widzieli już wiele, usłyszeli dwakroć tyle. Gdzieś w tym musiało być ziarno prawdy.

*

Krzyż lśnił czernią na tle żółtego piasku. Niczym posąg, dzieło rąk ludzkich. A jednak brązowoskórzy koczownicy gięli przed nim ciała.

Patrzył na nich i zastanawiał się, co spowodowało, że nomadzi sami z siebie uznali w martwym boga. Wystarczył deszcz, który nadszedł po jego śmierci? Mógł to być przecież zwykły przypadek.

On ogłosił się bogiem i skazał na śmierć tysięcy istot, drugie tyle okaleczył bądź uzdrowił, gdyż miał taki kaprys, a jednak lud nie ukorzył się przed nim całkowicie i modlił się także do innych bóstw. I naraz pomyślał, że musi to zmienić; nie zastanawiał się długo. Jeszcze przed wieczorem spłynął deszczem ognia na miasto, by z wieży patrzeć na szaleństwo ludzi i płomieni. Uchronił jedynie pałac i świątynię ze swym wizerunkiem.

I wznosił się w zachwycie pod strop i zawirował w tańcu, by przeniknąwszy przez mury zatrzymać obok śpiącej samki. Tak bardzo jej pragnął! Objął ją wzrokiem i przez chwilę sycił się pięknem, by pobudzone żądze zawrzały po dwakroć silniej. Na moment odebrał jej życie.

Gdy skończył, przywrócił je ponownie i uleciał ku słońcu, by zawirować. I wirował, wirował, wirował.

Był wodą i ogniem, życiem i śmiercią, powietrzem i próżnią, światłem i mrokiem. Unosił się w powietrzu pokonując bariery światów - tu spadł deszczem, tam ukazał ogniem... I przemykał dalej, do kolejnych bajecznych krain. Bez logiki, w szaleństwie, które go opanowało. Wył ku słońcu.

Opamiętał się nagle. Nagle zatrzymał się w powietrzu i powoli opuścił na marmurową posadzkę, a rozłożone na boki ręce bezwiednie opadły mu w dół. Odetchnął nabierając w płuca potężny haust powietrza i zakręcił się wokół siebie. Nie wiedział, co teraz zrobić. Wszystko wydawało się takie przyjemne i ludzkie. Takie małe. Zabieranie życia. Przywracanie go. Znowu...

Gdy był katem, wszystko było o niebo prostsze. Nie zastanawiał się - gdy trzeba było, zabijał lub uniewinniał. Gdy był katem. Lecz z drugiej strony...

Na imię miał Salonin i był bogiem. Do jego wizerunków lud składał modły. Na jego słowo tysiące gięły swe ciała. I nie było mocy zdolnej mu się przeciwstawić.

Popatrzył na swe dłonie - znów były czerwone od krwi. Zawsze stawały się takie, gdy jego bogowie domagali się ofiar. Nie odmawiał. Lubił, gdy na jego polecenie zabijano. Lubił patrzeć na śmierć. Pozostało mu to jeszcze z dawnych dni. Ta chora fascynacja uczyniła go katem.

Gdy był dzieckiem, ukarał śmiercią ojca za to, że nazwał go bękartem i psem niegodnym jeść ze swych rąk. Najpierw zatem uciął mu te ręce, a potem patrząc, jak wykrwawia się i krzyczy z bólu, dobił go uderzeniem młota.

Za to trafił do lochów. I krok po kroku stał się katem...

Obejrzał się na wciąż śpiącą samkę i odruchowo oblizał wargi. Znów naszła go żądza i zapragnął wejść w nią. Przysiadł na łożu i położył dłoń na nagim ramieniu, przesunął ją w dół ledwie dotykając, zatrzymał na chłodnych palcach.

- Tak trudno być bogiem... - szepnął do siebie i, zostawiwszy ją samą, wydał rozkaz o ścięciu kolejnych wybrańców. - Niech ołtarze spłyną krwią! - zawołał. - Niech lud modli się i korzy przed majestatem...

Miał krew na rękach, a to znaczyło, że bogowie domagają się ofiar.

Przywdział odświętne szaty swego poprzednika i wyszedł przed pałac, by spojrzeć w błękit nieba i żółtą kulę słońca. Gdzieś wewnątrz, pałac ogniem, żył żar, którego nie mógł ugasić. Czasami rozkwitał płomieniem, czasami nikł niemal zupełnie, lecz nigdy, przenigdy nie wygasiał.

Wzniósł się nad schody na wysokość człowieka i pobiegł spojrzeniem przez miasto. Poza jego murami nadal stały szubienice, a wewnątrz życie toczyło się jak zawsze. Oczy i umysł patrzących przyzwyczały się do widoku rozdziobiwanych przez ptaki i zżeranych przez robaki ciał.

Opuścił się niżej i skinął na sługi.

- Wyburzycie to, co jest między mną a murem.

*

Gdzieś na skraju... Ból. Coraz większy i coraz większy, jak przekleństwo. Gdzieś na skraju.

Zatrzymał się i rozerwał szaty na piersiach. Dusił go to otoczenie, dusił go ciężar pałacu i niby służba, brakło mu tchu, by logicznie myśleć i postępować. Zagubił się gdzieś... Gdzieś na skraju.

Stał nad przepaścią i patrzył na rwący w dole potok, na wzburzony żywioł rozbijający się o skały, na ciemnozielony nurt zroszony białą pianą. Mógłby skoczyć weń i dać się porwać szybkości i szaleństwu. Mógłby.

Zapomniał o widzeniu. Pomyślał, że... I aby wrócić do rzeczywistości, uderzył w lustro tłukąc je w drobny mak, aż odłamki wbiły się pod skórę. Ukłucia bólu uświadomiły mu, że jeszcze żyje i że musi zacząć coś robić, by nie zwariować.

Wydał zatem kolejny rozkaz:

- O dzień drogi od murów miasta wybudujecie piramidę - rzucił do słuchających w milczeniu sług. -
Gdy stanie, chcę widzieć ją z pałacu.

Nie obchodziło go, ile budowa potrwa, nie obchodziło go, ilu ludzi zginie. Nie liczyło się nic.

*

Imperium drzemało pozbawione namiestnika i pana. Nie było bowiem władcy godnego objąć pusty

tron. Koczownicy korzyli się przed wystawionymi za życia rządzących posągami, składali modły i oblewali krwią bałwochwalcze ołtarze. Na stosach ofiarnych krzyczeli w niebo paleni żywcem wybrańcy.

Obłąd zabijał w umysłach logiczne rozumowanie i miał przemienić się z czasem w opamiętanie, rozrastał się, przybierając różnorakie odcienie. Nie było mocy zdolnej go powstrzymać. I dnie i noce płonęły pochodnie i stosy, a ogień nie wygasał ani na chwilę. Koczownicy upojeni modlitwą i tańcem zatracali się.

Nie miał się jednak kto ubiegać o prawo do dziedzictwa, bo nie było wśród żywych potomków nigdysiejszych władców. Nie było wśród żywych krwi z krwi, kości z kości.

Na wzgórzu stał krzyż. Pomiędzy ziemią a niebem, w promieniach słońca i w blasku księżyca, na bezbrzeżnych piaskach kamiennych pustyń, wysłuchując w milczeniu modlitw i próśb.

Na wzgórzu stał krzyż, na którym odradzało się życie...

*

Deszcz. Po tysiącu dniach i tysiącu nocach. Jak znak zapytania postawiony na końcu zdania. Żółty i gęsty. Deszcz. Niczym urzeczywistnione marzenie.

Oczy zwrócone w niebo patrzą spod przymrużonych powiek na zaistniały cud, zamykają się, otwierają, po twarzach spływają żółte łzy.

- Gahra! - wyją koczownicy wystukując stopami zaklęty rytm. - Gahra! - wykrzykują usta, gdy ciała tańczą.

Poprzez nisko płynące chmury i mętną żółć wody nie widać słońca, lecz obok z woli bogów martwe życie odradza się.

Dlaczego?

*

Zatrzymał się, odwrócił na palcach, przeszedł kilka kroków z lewą ręką na piersi i z prawą pod brodą. Myślał, a przechadzanie się tam i z powrotem pomagało mu się skupić.

Słudzy żegnali tysięczny tłum koczujących w szałasach u obrzeży miasta i pod czujnym okiem nadzorców rozpoczęli budowę piramidy, o dzień drogi od murów.

Nieważne było to, czy zostanie wykończona za jego panowania, czy też nie, czy w ogóle zostanie zakończona. Liczyło się jedynie to, co było teraz i nic poza tym.

Chodził od ściany do ściany, w kółko. Od ściany do ściany. W kółko. Ogień płonął, wzmagął się, nabierał mocy. Kręcił się usidlony w ciele świat. Niczym istota żywa.

Palcami zamkniętymi w pięść uderzył w kolumnę podpierającą strop. I raz jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze... Aż posypał się pył i zadrżał słup. Nie czuł bólu, nie czuł nic. Mógł rękami roznieść całą budowlę. Mógł zburzyć aż po sam fundament. Mógł to zrobić!

Wybiegł przed pałac, zatrzymał się na skraju schodów. Setka sług wyrąbywała przejście, aż po samą bramę wschodnią miasta tak, jak zarządził, tak, jak chciał. Gięli ciała i nie podnosili niegodnego wzroku, bo każde uniesienie głowy karane było uderzeniem bata i skóra rozpałała się ogniem bólu.

Na imię miał Salonin i był bogiem!!!

Wrócił do sali i zatrzymał przy stole, pochylił się nad rozłożoną mapą. Miał na niej naniesione nieznaną ręką kontury obszarów i ich nazwy; Magtardd, Yangor, Arde-Rin, Marzuk... Morze oddzielało go od nich barierą, które mimo swej władzy nie był w stanie przekroczyć. Jego siła tkwiła bowiem w przedmiotach, które mógł wziąć do rąk; w piachu, po którym stąpał; w skałach i kamieniach. Zaś by przekroczyć morze...

Tu było jego dziedzictwo, tam... coś, co zwało się imperium; coś, co go zastanawiało, przyprawiając momentami o ból głowy, dlatego nie myślał o tym zbyt często. Fenomen trwania wciąż razem podbitych obszarów nie dawał się rozwikłać mimo usilnych chęci. Lud modlił się do swych byłych namiestników, choć byli tyranami i despotami pozbawionymi miłosierdzia. Żaden władca ościenny mimo wcześniej toczonych wojen nie ubiegał się o pozostawiony tron. Wiedzano, że stoi pusty i czeka na nowego pana. Co powstrzymywało władców? Gdzie tkwiła tajemnica tego stanu rzeczy? Kto znał odpowiedź na ową zagadkę?

Podobno morze nie miało początku i nie miało końca.

Salonin patrzył na mapę i utwierdzał się w przekonaniu, że choć był bogiem, to nie mógł dokonać wszystkiego. Zawsze natykał się na bariery, których nie potrafił złamać. Fascynacja martwą kobietą, od której nie umiał się uwolnić; strach przed wodą, którego nie pojmował; nienawiść do samego siebie, której nie doświadczył nigdy wcześniej i której nie rozumiał.

Za morzem bez początku i końca drzemała tajemnica... Za morzem było coś, nad czym rozmyślał i do czego tęsknił.

Ta tęsknota nie pojawiła się jednak od razu. Przecież gdy był katem, nie znał nawet nazwy - imperium. Nie obchodziło go nic, co wychodziło poza zakres jego obowiązków. Fascynacja przyszła z czasem, już po zostaniu fałszywym bogiem. Zalęgła się niczym ziarno rzucone na podatny grunt i wykiełkowała, by rozrastać się, zapuściwszy korzenie. Miał władzę nad całym obszarem i to właściwie bez przyczyny - a jednak chciał więcej, jeszcze więcej. Gdyż taka była natura ludzka.

Wiara wiele mogła, a na pustyniach imperium koczownicy modlili się do zmarłych, będących za

życia ludźmi z krwi i kości. Gdybyż tak... W umyśle nawet najmarniejszego człowieka tkwiła uśpiona moc, którą tylko należało obudzić.

Odwrócił się od stołu tknięty czymś nagłym i niepojętym i przemknął cieniem do komnaty, w której spała ukochana samka. Uderzył w obite żelazem drzwi wyrywając je z zawiasów - z hukiem i zgrzytem opadły na posadzkę o cztery kroki dalej. Zamarł tuż ponad nimi.

Przy łożu stał ktoś, kogo nie znał, choć nie wydawał się być obcym. W poszarpanej tunice do kostek i sandałach na spalonych słońcem stopach przypominał wędrownego nomada bez stałego szałas, lecz z całą pewnością nim nie był. Z głową opuszczoną na pierś zdawał się drzemać.

- Kim jesteś?! - zapytał gniewnie Salonin zastanawiając się, jak przybysz się tu dostał.

Nie usłyszał odpowiedzi i powtórzył pytanie:

- Kim jesteś?!

Obcy podniósł głowę. Była spalona słońcem i pokryta nieprzyjemnymi z wyglądu bliznami. Wzbudzała litość i odrazę.

- Zwałem się Emilian - odparły usta, choć nawet się nie uniosły.

- Jak się tu dostałeś?!

- Przyleciałem...

Salonin rozszoszczony widokiem i mową przybysza zawarczał gniewnie. Wszedł do jego umysłu, zagłębiając się w istniejące w nim czeluście.

Odkrył bezdenną pustkę, ból, przerażenie, mękę, strach, niebyt, oczekiwanie, oczekiwanie, oczekiwanie... Zawieszony ponad ziemią ciało paliły promienie słońca, a dzioby ptaków szarpały je na strzępy odrywając od kości, robaki żarły od wewnątrz... Życie jeszcze się tliło.

Wyszedł na zewnątrz przerażony tym, co zobaczył i czego doznał, zachwiał się nie panując nad osłabionym ciałem i oparł o ścianę plecami, zbierając rozproszoną moc. Nie rozumiał, co się stało.

Otworzył oczy i przez chwilę patrzył przez mgłę nie widząc nic prócz zamazanych konturów i cieni. Wstrząsnął głową.

Czuł się tak jakby to nie on, a w jego ktoś grzebał umyśle.

- Zwiesz się Salonin i byłeś katem... - usłyszał głos, pod którego wpływem zadrżał.

- Tak - odparł mimowolnie.

Kim był ów człowiek?! Kim był ów człowiek?!

- I znów pytasz się, kim jestem. Znałem się Emilian, już ci to powiedziałem. Zszedłem z krzyża...

I nagle Salonin przejrzał w swej niewiedzy. Widział go już! Na wzgórzu pośród kamiennych pustyń, wiszącego na hebanowym krzyżu. U podnóża koczownicy składali modły. Tylko że... Tylko że... Tylko.

- Martwe nie odradza się - rzucił cicho.

- A ona?

Spojrzał na leżącą na łożu samkę. Przyszedł do niej i zapomniał, że była tuż obok. Była martwa, on to życie odebrał, lecz w każdej chwili mógł je jej zwrócić. Jak czynił to już wielokroć. I nie nazywał wcale tego cudem. Bo dla niego nie było to nic nieprawdopodobnego.

- Widziałem cię na krzyżu - powiedział, wciąż nie mogąc zebrać rozproszonej mocy. - Ona ma zdrowe ciało i zdrowy umysł, ty zaś nie przypominałeś nawet w części człowieka. Jak zatem odrodziłeś się i zszedłeś z krzyża? Jedynie bogowie dysponują taką mocą.

- Skąd wiesz, czy nie jestem bogiem?

- Jesteś człowiekiem.

- Ty również.

Emilian uniósł powieki i oto Salonin ujrzał czerni pustych oczodołów, ciarki przemknęły mu przez plecy. Ów człowiek nie miał oczu!

- A jednak widzę - rzekł ten, jakby przecząc rzeczywistości - tak samo wyraźnie jak ty, kacie... A gdy muszę, jeszcze wyraźniej.

- Czego chcesz ode mnie?

- Ciebie.

Popękane usta wykrzywił grymas uśmiechu.

Salonin uderzył zebraną mocą i całym sobą. I chybił, choć nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. I

wyrznął w ścianę rozbijając mur - wypchnięte kamienie poleciały w dół. Chciał odwrócić się, by uderzyć ponownie - coś wstrzymało mu ruchy. Szarpnął się w gniewie chcąc wyrwać z narzuconych pęt - nie mógł. Czuł, jak traci moc.

I usłyszał głos:

- Zawsze byłeś tylko katem, choć bogowie uczynili cię swym ludzkim wysłannikiem na obszary.

Mówiący wyłonił się z cienia, przystanął o trzy kroki od nie mogącego się poruszyć namiestnika. Pustymi oczodołami, w których nie było życia, wpatrzył się w jego oczy. I nastąpił kolejny przekaz.

- Otrzymałeś załówek mocy wystarczający, byś mógł rządzić, a ty zauroczyłeś się samica, która jest martwa. Czyż to nie paradoks? Twój czas się skończył, Saloninie wybawicielu...

Odszedł, zakręcił się po komnacie przybierając różnorakie postacie: kobiety, wilka, węża. W szaleńczym wirowaniu rozbłysnął setką kolorów, przemienił się na chwilę w tęczę, potem spadł deszczem na posadzkę i nagle znów stał się sobą. I zatrzymał się w miejscu.

- Oto potęga i władza - zawarczał. - Dana ci została moc przepoczwarczenia się w węża, albowiem on zgubił świat. Ja gdy chcę, mogę stać się każdą istotą i przedmiotem, i zjawiskiem, i pustką. Lecz widzisz, Saloninie, ja również mam swą słabość. Stało się tak, że straciłem wszystko i zawisłem na krzyżu skazany nań przez zwykłych śmiertelników i nie wiem, czy nie stracę tego ponownie. Bogowie mają bowiem swe dziwne kaprysy i nie będąc wśród nich trudno jest odgadnąć ich wolę. I dlatego umiera zdrowe niemowlę, a żyje trędowaty i ułomny. Dlatego płonie ogień i płynie woda, a krainy odchodzą wraz ze swymi nazwami w otchłanie zapomnienia i czasami ginie po nich także razem pamięć. Powiedziałeś: "Trudno być bogiem". Być może, to wyjaśnia wszystko, być może gmatwa rzecz jeszcze bardziej. Bo mówiłem na siebie bóg i lud korzył się i modlił przed mym majestatem. I ty również tak mówiłeś, a przed tobą tysiące innych. Gdzie tkwi zatem prawda? Komu należy oddawać hołd? Kto jest tym Pierwszym? A może nie ma go w ogóle? Czy potrafisz to zrozumieć? Odpowiedz.

Salonin drgnął czując, że oto uwolniony został od wiążących go pęt. Przesunął się nieznacznie chcąc się przekonać, że nie jest to złudzenie. Nie było. Lecz czuł, że nie ma już mocy.

Podążył wzrokiem za przechadzającym się przybyszem.

- Jestem przecież tylko katem - rzekł.

- Odpowiedz jednak.

- Nigdy nie rozumiałem woli bogów.

- Prawda? Uczynili cię jednym spośród siebie, a mnie zwrócili życie i przywieźli tutaj. Po co? Byś stał się znowu zwykłym człowiekiem. Czy to nie dziwne? Przed kilkoma dniami spadł deszcz, a wraz z nim przyszło przebudzenie. Być może, nie powinienem się zatem zwać Emilian, lecz Gahra, bóg wody? Co o tym myślisz?

- Czuję lęk przed wodą.

- Gdybyś go nie czuł, przekroczyłbyś morze, by zasiąść na tronie imperium. A ja jestem jego namiestnikiem. Jeszcze... - zaśmiał się bez wyraźnego powodu i znowu zakręcił po komnacie.

Podmuch zerwał materiał przykrywający śpiącą samkę ukazując nagie ciało. Salonin spojrzał na nie, odruchowo oblizał wargi. Pomimo sytuacji, w której się znalazł, nie mógł powstrzymać żądy. Odszedł od ściany i usiadł na krawędzi łoża, dotknął nagiego ramienia.

Emilian wznosił się w swym szaleństwie pod strop - na moment przywarł doń dłońmi. Zawieszony niczym nietoperz głową w dół rozejrzał się po komnacie. Potem opadł lekko w dół.

Nie mógł się powstrzymać przed chociaż nieznacznym wykorzystaniem przywróconej mocy. Chciał...

- I wciąż nie możesz się od niej uwolnić - rzekł podchodząc do łoża. - Kiedyś zgubiłaby cię ta namiętność tak jak już wielu przed tobą - pochylił się i przywarł ustami do ust, tchnął i poderwawszy się, uśmiechnął patrząc swymi oczodołami w oczy Salonina. - Zwracam ci ją, albowiem nie jest mi potrzebna. Zabieram twą moc, lecz daruję życie: jej i twoje. Czyż nie jestem wspaniałomyślny?

- Jeżeli tak mówisz...

Samica poruszyła się, przekręciła z boku na plecy, powieki uniosły się, a brąz przecudownych oczu spojrział na siedzących obok.

- Ciebie nie znam - rzekły rozbudzone usta.

- Na imię mi Emilian.

- Mnie zwą Lili. Jesteś gościem Salonina?

- Można tak rzec - uśmiechnął się gość unosząc powieki.

Lili wzdrygnęła się widząc to, czego nie zobaczyła na początku.

- Nie masz oczu... - szepnęła. - Któż ci to zrobił?

- Ptaki, pani. Byłem martwy i bogowie zwrócili mi życie, lecz abym nie zapomniał o tym, co się stało, nie oddali mi wzroku.

Namiestnik imperium wstał i podszedł do okna.

Lili pobiegła za nim wzrokiem. Wyciągnęła dłoń ku ścianie.

- Cóż się tu stało, Saloninie? - zapytała wpatrując się w wyłom w murze, po czym przeniosła wzrok na mężczyzn.

- Nic, dziecino, nic.

Emilian odwrócił się do nich.

- Przybyłem tu, pani - rzekł cicho - by przerwać twój sen. Od dziś spać będziesz tak jak każdy człowieka na tym świecie.

Spojrzała na niego.

- Kim jesteś naprawdę, panie?

- Być może człowiekiem.

- Dlaczego "być może"? - wstała i podeszła do niego. - Dlaczego?

Wpatrzył się w nią i naraz przywarł ustami do ust, wpił zwierzęco. Brąz załśnił niepokojącym blaskiem, krew zawrzała w żyłach.

Oderwał się.

- Masz piękne oczy, pani - rzekł.

- Więc weź je.

- Kiedyś zabijałem takie jak ty samki. Kiedyś oddawałem je bestiom na żer. Nie znałem litości i zawsze... - pochylił się, opuścił powieki.

Gdy je uniósł, ukazał światu brząz swych nowych oczu.

*

Unosząc się w przestrzeni nad morzem bez początku i końca rozmyślał nad przeszłością. W podmuchach wiatru tańczył i wirował. Był martwy i narodził się, był ukrzyżowany i zszedł z krzyża. A teraz oto płynął na skrzydłach wiatru objąć pusty tron. Znowu miał w sobie boską moc.

Deszcz spadł nagle i zupełnie nieoczekiwanie pokrył suchy piach pustyni wielonem powstałej z wody mgły. Po raz trzeci w ciągu zaledwie kilkudziesięciu dni ulewa przetoczyła się ponad obszarami przynosząc z sobą radość i nadzieję na lepsze dni. Domagający się ofiar bogowie wysłuchali w końcu usilnych prośb i stało się to, co tak było oczekiwane. Lud tańczył i weselił się, a ołtarze uprzątnięto z pokrywających je ciał. Bogowie okazali swą łaskę, a zatem nie potrzebowali już więcej ofiar.

W cztery dni zasiadł na tronie imperium i rozpoczął rządy, ogołacając skarbiec na datki dla potrzebujących i odbudowę ruin.

I przeszedł do historii jako władca miłosierny i sprawiedliwy.

Okrąg połączył się w jeden splot. Wypełniło się przeznaczenie.